



Horyzonty Polityki
2(3)/2011

RAFAŁ MATYJA

Wyższa Szkoła Biznesu – National-Louis University
w Nowym Sączu

Wybory i mała stabilizacja

Streszczenie

W artykule przedstawiono analizę sukcesu politycznego, jaki przypisuje się Donaldowi Tuskwowi, niepodzielnie kierującemu partią, która wygrała ostatnie wybory parlamentarne. Można by sądzić, że sukces ten zaowocuje pewną dalszą stabilizacją polskiej sceny politycznej, co należałoby docenić, co jednak rodzi zarazem poważne zastrzeżenia. Jeśli zaś poświęcić dość uwagi precyzyjnie ujętym rezultatom wyborów, to można wówczas dostrzec złożoność systemu politycznego – w którym swoje miejsce znajdują określone interesy partykularnych grup nacisku czy też lobbies – jak również pewne znaczące ograniczenia politycznej strategii Donalda Tuska wobec logiki tegoż systemu. „Stabilizacja” okazuje się więc tyleż niepewna, ile mająca wysoką cenę, nade wszystko gdy idzie o poziom debaty publicznej.

SŁOWA KLUCZOWE

wybory 2011, Donald Tusk, stabilizacja,
koalicja, logika systemowa, zachowania
wyborcze

ELECTIONS AND SMALL STABILIZATION

The article provides an analysis of the apparent success achieved by Donald Tusk as an unquestionable leader of the party which won the recent parliamentary elections. This success can probably, though not certainly, bring about a kind of further stabilization of the political stage in Poland that should be valued, however, with much reservation. Now, when paying proper attention to the exact results of the elections, one can see the complexity of the political system – wherein includes a number of specific particular interests, or lobbies – as well as some significant limitations of Donald Tusk's political strategy against the background of the system. Thus the "stabilization" proves to be unreliable and of a high price with regard, above all, to the level of public discourse.

KEYWORDS

2001 elections, Donald Tusk, stabilization, coalition, logic of the system, electoral behaviour

Według współczesnych komentatorów wybory parlamentarne 2011 roku przejdą do historii jako pierwsze, po których rządzący mogli utrzymać władzę. Nie jest to zaskoczeniem, ponieważ polityczny rezultat tych wyborów – utrzymanie władzy przez Donalda Tuska – był najbardziej prawdopodobnym scenariuszem od wielu miesięcy. Co więcej, wiele wskazuje, że był najważniejszym celem jego rządu. I choć sama stabilizacja jest zwykle uważana za pozytywny element sceny politycznej, to cena jaką płacimy za treść i jakość tej stabilizacji może się okazać tym, co w obecnej sytuacji naprawdę „historyczne”.

ARYTMETYCZNA SIŁA I SŁABOŚĆ TUSKA

Najważniejszym skutkiem wyborów wydaje się być zmiana warunków rządzenia, jaka rysuje się przed Donaldem Tuskiem. Był pierwszym premierem gabinetu większościowego – po zmianie konstytucji – który nie skorzystał z możliwości wypchnięcia z rządu koalicjanta. Ale z faktu, że nie uczynił tego w poprzedniej kadencji, nie wynika, że nie uczyni tego w obecnej. Zwłaszcza, że warunki zawierania koalicji uległy w tym Sejmie zasadniczej zmianie.

W Sejmie obecnej kadencji wszystkie ugrupowania z wyjątkiem Platformy Obywatelskiej mają po wyborach taki sam potencjał koalicyjny¹. Każda z nich z osobna wystarczy Platformie do zbudowania zwycięskiej koalicji, a do tego, żeby rządzić bez partii Tuska – konieczna byłaby koalicja wszystkich. Gdy weźmiemy pod uwagę brak możliwości zawarcia takiej koalicji, to łatwo zauważymy, że model formalny – przy założeniu niezmiennej liczby członków poszczególnych klubów – jest prosty: PO może dowolnie wybierać sojusznika i kształtować parlamentarne konfiguracje.

Platforma Obywatelska może zatem w tej kadencji rządzić w koalicji z partią Waldemara Pawlaka, z osłabionym Sojuszem Lewicy Demokratycznej albo z Ruchem Palikota. Może też rządzić sama, próbując przyciągnąć do siebie – tak jak pod koniec poprzedniej kadencji – poszczególnych posłów. Przyciągnąć lub zapewnić sobie ich przychylność, obiecując miejsce na listach wyborczych, poparcie w wyborach senackich, interesującą pozycję w administracji lub biznesie. Gdy zauważymy, jak skutecznie PO osłabiła SLD, wyciągając wschodzącą gwiazdę medialną tej formacji – Bartosza Arłukowicza czy jednego z weteranów Sojuszu Witolda Gintowt-Dziewałtowskiego, jeżeli dodamy do tego skuteczny demontaż partii Polska Jest Najważniejsza poprzez wciągnięcie na listy Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Jana Filipa Libickiego i poparcie senackiej kandydatury Wiesława Kiliana – to dostrzeżemy, że partia ta dopracowała się skutecznej metody walki z opozycją. Jeżeli liderzy lewicy nie przełamią kryzysu SLD, to zarówno ta partia, jak i Ruch Palikota mogą stać się ofiarami tego typu działań.

Siła Tuska w tej kadencji polega także na rzeczywistym braku zdolności koalicyjnych partii Jarosława Kaczyńskiego i na niemożności uchwalenia w tej kadencji konstruktywnego wotum nieufności bez współpracy Ruchu Palikota z Prawem i Sprawiedliwością. Chyba, że... rozpocząłby się proces dekompozycji samej partii władzy, polegający na niesubordynacji lub secesji znaczącej grupy.

¹ Tematem potencjałów koalicyjnych częściej niż politolodzy zajmują się matematycy i socjologowie, specjalizujący się w teorii racjonalnego wyboru. Zainteresowanych warto odesłać do książek J.W. Mercika, *Siła i oczekiwania. Decyzje grupowe*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa – Wrocław 1999 oraz *Grupowe podejmowanie decyzji. Elementy teorii, przykłady zastosowań*, red. H. Sosnowska, Scholar, Warszawa 1999.

W teoretycznych scenariuszach nie możemy bowiem wykluczać powstania w Platformie „frakcji odrzuconych”, która spodziewając się zepchnięcia z list wyborczych, opuści Tuska. Zwłaszcza że z pragmatycznego punktu widzenia – znacznie łatwiej będzie odrzuconym unicestwić kruchą większość parlamentarną niż przejąć władzę w Platformie.

W chwili ogłoszenia wyniku wyborów stało się jasne, że Tusk uzyskał szansę dowolnego konfigurowania koalicji, gry z Polskim Stronnictwem Ludowym czy lewicą. Jednocześnie jednak nie dysponuje klubem jako przyciskiem, który z mocą dwustu siedmiu głosów wykona posłusznie każdą jego decyzję. To, że Tusk nie przyjmuje tego faktu do wiadomości, że sam dysponuje najważniejszymi urzędami w państwie, nie dając kolegom z klubu nawet złudzenia uczestnictwa w decyzji, że ostentacyjnie wyprzedził wywiadem w „Polityce” ustalenia z prezydentem – pokazuje, że nie bierze pod uwagę możliwości utraty siły tego dwustusiedmiogłosowego przycisku. Tymczasem odejście dziesięciu posłów z klubu Platformy (dziś jeszcze trudne do wyobrażenia) pozbawi premiera stałej większości i ograniczy jego swobodę manewru w stopniu, który będzie trudny do zlekceważenia.

SIŁA I SŁABOŚĆ SYSTEMOWA

Drugi – już nie arytmetyczny – aspekt wysokiego wyniku Tuska wiąże się bezpośrednio z tworzonym przezeń mechanizmem sprawowania władzy. Mechanizm ten polega na osłabianiu potencjalnych rywali w obrębie partii i dyskredytowaniu polityków znajdujących się poza partią. Fakt, że mechanizm ten działa i pozwala bez straty pozbywać się wszystkich kolejnych liderów – od Olechowskiego i Płażyńskiego począwszy, przez Gilowską i Rokitę, aż po obecną fazę spychania do defensywy Schetyny, nie oznacza, że nie ma on swoich barier. Po pierwsze, dlatego że nie da się rządzić przy pomocy coraz słabszych ekip. Po drugie, dlatego że perspektywa jednowładztwa rodzi coraz większe opory systemowe.

Choć nie powstało dotąd żadne systemowe wyjaśnienie upadku Millera i jego partii w latach 2003-2004, to skłonny jestem zaryzykować twierdzenie, iż jednym ze źródeł kryzysu i załamania się

postkomunizmu była właśnie nadmierna koncentracja władzy i poczucie zagrożenia we wpływowych środowiskach gospodarczych i medialnych. Afera Rywina stała się katalizatorem procesu, który narastał, ale gdyby jej ujawnienie było wbrew interesom dominującego układu interesów, jej rezonans byłby mimo wszystko znacznie słabszy.

Oslabienie Millera w 2003 roku było dla wielu graczy korzystne, choć pewnie niewielu z nich przypuszczało, że SLD nie podniesie się już z upadku, a wraz z nim zawali się pewien mechanizm „dojść” do świata władzy. Afera hazardowa z roku 2009 była tym samym grupom zupełnie nie na rękę, mogła bowiem otworzyć drogę do władzy Jarosławowi Kaczyńskiemu. Została zatem rozbrojona metodami politycznymi i medialnymi. Zręczność premiera, której zabrakło Millerowi, polegająca na natychmiastowym odsunięciu podejrzanych od kluczowych stanowisk w rządzie i klubie – to tylko jeden z czynników sukcesu. Co ciekawe i pouczające – znacznie groźniej dla Tuska mogła potoczyć się sprawa OFE. Jeżeli coś było ostrzeżeniem – to właśnie ten moment, w którym premier miał powiedzieć o „przekręceniu wajchy”, inspirując tym dociekania internautów i części komentatorów.

Ujawniona przez Tuska świadomość istnienia „wajchy” jest interesująca i przypomina równie „PiS-owską” wypowiedź Adama Michnika na inaugurację prac komisji śledczej, gdy tłumaczył, iż nie zawiadomił prokuratury, ponieważ obawiał się, że zostanie zlekceważony, podobnie jak miało to miejsce w sprawie doniesienia jednej z komercyjnych stacji przeciwko Włodzimierzowi Czarzastemu. Stawia zatem sprawę, jasno mówiąc: „miałem podstawy, żeby przypuszczać, że jeżeli ja sprawę do prokuratury oddam, to ona będzie rozmyta”².

Główni aktorzy zdają sobie sprawę, że istnieje jakaś nie do końca zależna od nich logika systemowa, w ramach której ci, którzy przysparzali zwykle kłopotów ich przeciwnikom, mogą zwrócić się przeciwko nim samym. Co więcej – od upadku Leszka Millera wiadomo, że władza polityczna nie jest w stanie skutecznie

2 *Stenogram z 5 posiedzenia komisji śledczej do zbadania ujawnionych w mediach zarzutów dotyczących przypadków korupcji podczas prac nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji z dnia 8 lutego 2003, s. 9-10, 17.*

przeciwstawiać się zewnętrznej presji. Warunkiem stabilizacji i utrzymania się przy władzy jest zatem jakaś forma konsensusu lub wręcz uległości wobec dominujących grup interesów.

BUDOWANIE LIST

Wskazanie dziwnych rozsad dokonanych przez Jarosława Kaczyńskiego na Śląsku mogłoby sprawiać wrażenie, że mieliśmy do czynienia z jakimś wyjątkiem od reguły. Przeciwnie – liderzy głównych partii prześcigali się w pomysłach na dawanie naucki własnym strukturom lokalnym. Rekord krajowy padł chyba w Krakowie, gdzie od lat rywalizowali politycy rozpoznawani w skali ogólnopolskiej. Tym razem na czele list największych partii stanęli natomiast Andrzej Duda, Tomasz Kalita i Ireneusz Raś.

Można zresztą wskazać i inne listy, których konstrukcja nasuwa podejrzenie, że liderom bardziej niż o ostateczny wynik chodziło o korzystny dla nich kształt klubu, zatem główna bitwa została przez nich uznana – na wiele tygodni przed wyborami – za rozstrzygniętą, a sprawa kontroli nad klubem miała okazać się kluczową kwestią polityczną następnej kadencji.

Zresztą – początek działań Tuska wobec Grzegorza Schetyny, napięcie w SLD, zapowiedź rozliczeń w PiS – pokazują, że coś jest na rzeczy. Scementowane kampanią partie muszą teraz „zająć się sobą”. Jednak uwerturą do tego było tworzenie list i dokonana przez wyborców korekta. Jej część ma wymiar symboliczny – jak przeskokowanie „jedynek” przez kandydata z dalszej pozycji. Część – bardzo praktyczny, gdy osoba umieszczona na wysokim, „bezpiecznym” miejscu traci mandat na rzecz kogoś „przypadkowego”.

Gdy chodzi o spektakularne porażki jedynek, szeroko komentowano porażkę grupy Grabarczyka z ludźmi związanymi z marszałkiem Schetyną. Jednak gdy przyjrzymy się zwycięskim listom (takim, które zdobyły przynajmniej jeden mandat w danym okręgu), to zauważymy, że najwięcej „przeskoczonych” jedynek spotykamy na listach Prawa i Sprawiedliwości. W pięciu przypadkach urzędujący posłowie przeskożyli umieszczonych na czele listy partyjnych ekspertów, w jednym przypadku – w Kaliszu – otwierający listę PiS Andrzej Waśko w ogóle nie wszedł do Sejmu.

Warto zwrócić uwagę na zamieszczone w tabeli niżej dane dotyczące SLD. Tu jedyńki zostały „przeskoczone” w przypadku aż ośmiu list spośród tych, które dały lewicy choć jeden mandat. Co więcej – w siedmiu z ośmiu przypadków oznaczało to pozbawienie kandydata z pierwszego miejsca mandatu. Co więcej, jedną trzecią klubu SLD tworzą dziś posłowie, którzy weszli spoza miejsc mandatowych, a zatem – można powiedzieć, że objęli je wbrew intencjom Grzegorza Napieralskiego.

W przypadku PSL – przypadków przeskoczenia jedynek było niewiele. Ale w dwóch z trzech wypadków pozbawiło to mandatu lidera listy. W jednym przypadku dotknęło to urzędującą panią minister – Jolantę Fedak. Najbardziej spektakularne „korekty” na czele listy dotknęły Platformę. Do rangi symbolu urastają zwycięstwa spychanych na dalsze miejsca Joanny Muchy i Jarosława Gowina. Symboliczna była też porażka Cezarego Grabarczyka, który nie utrzymał pierwszego miejsca w Łodzi, przegrywając nie tylko z ministrem Krzysztofem Kwiatkowskim, ale także z Johnem Godsonem. Ciekawe – choć mniej komentowane – były porażki Andrzeja Halickiego z Dariuszem Rosatim i Rafała Grupińskiego z Waldym Dzikowskim.

Komitet Wyborczy	Posłowie spoza miejsc mandatowych		Przeskoczone „jedyńki”	Głosy na „jedynekę”
	Liczba	Odsetek		
Platforma Obywatelska	47	22,7%	7 (0)	34,3%
Prawo i Sprawiedliwość	31	19,7%	12 (1)	29,8%
Ruch Palikota	0	0,0%	0 (0)	42,4%
Polskie Stronnictwo Ludowe	5	17,9%	3 (2)	26,9%
Sojusz Lewicy Demokratycznej	8	29,6%	8 (7)	34,7%

Powyższa tabela pokazuje też, że większość Polaków nie głosuje na jedyńki. Największy odsetek głosów na pozostałych kandydatów oddają wyborcy PSL (73,1%), co związane jest z rozbudowaną strukturą organizacyjną tej partii i głosowaniem na jej lokalnych kandydatów (wójtów, burmistrzów, radnych). Zresztą jak widać

wyraźnie w analizie pozostałych elektoratów – spora część wyborców, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, głosuje, przede wszystkim kierując się sympatią do kandydatów lokalnych.

Jasne jednak pozostaje, że obecny mechanizm rekrutacji i selekcji posłów napędzany jest przez trzy mechanizmy: próby zapanowania nad partią (klubem) przez jej ośrodek kierowniczy, tendencję do reprezentacji interesów lokalnych, chęć przyciągnięcia na listy znanych (lokalnie lub medialnie), ale nie podmiotowych kandydatów. Wszystkie trzy mechanizmy powodują osłabienie podmiotowości klubów parlamentarnych i poszczególnych posłów na rzecz liderów partii.

Jednak – jakby tego było mało – liderzy trzech głównych partii poprzedniej kadencji z pedanterią dążą do marginalizacji wszelkich podmiotowych zachowań w partii, reprezentowanych najczęściej przez tych posłów, którzy w polityce są od lat 90. Nieprzypadkowo Donald Tusk rozpoczął drugą zwycięską kadencję od prób ograniczenia podmiotowości Grzegorza Schetyny. Totalne panowanie nad partią, eliminowanie wszelkich prób tego, co Tusk nazwał „wewnętrzną opozycją”, stało się jedną z kluczowych technik władzy. Liderzy nie próbują już nawet zachowywać pozorów, nie konsultując na przykład kandydatury na marszałka czy wicemarszałka Sejmu nie tylko z klubem, ale nawet z wąskim kierownictwem partii.

Mechanizm stabilizacji w wersji Tuska polega bowiem nie tylko na wygrywaniu kolejnych wyborów, ale także na umiejętności pacyfikowania i neutralizowania innych niż Tusk beneficjentów tych zwycięstw. Stabilizacja ma jednak podstawy nie tylko w koncepcji Tuska. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jest on raczej idealnym wykonawcą pewnego szerszego konsensusu na rzecz blokowania zmian. Byłoby społecznym złudzeniem sądzić, że za wyborczym zwycięstwem stoi Tuskobus, klip wyborczy czy nawet dość jednoznaczna postawa części mediów.

NIE TYLKO KAMPANIA

Naturalnym elementem powyborczych komentarzy jest próba wskazania tych elementów kampanii, które wpłynęły na wynik wyborów. Pomija się przy tym dość często tendencje długofalowe,

niezwiązane w ogóle z kampanią, zapominając, że większość użytych w kampanii chwytów pozostaje niewidoczna dla szerokiego odbiorcy, który nie czyta prasy, nie ogląda telewizji informacyjnych, nie śledzi politycznych losów polityków, na których przyjdzie mu głosować. Co więcej – takie podejście spycha na dalszy plan te mechanizmy kształtowania opinii, które wpływają na długofalowe zmiany postaw wyborców.

Spółeczeństwo nie da się sprowadzić do grupy podatnych na wyborczą reklamę konsumentów, traktujących wynik wyborów z równą bezinteresownością co rezultat głosowania w telewizyjnym show. Za wyborczymi zachowaniami stoją znacznie trwalsze postawy niż te, które da się „wykreować” w miesiąc czy dwa. Ważnym narzędziem, przy pomocy którego analizujemy zachowania wyborcze, jest indeks chwiejności wyborczej³, stale malejący – z poziomu 39,2 w 2005 roku, przez 25,5 w 2007 roku, po 13,5 w ostatnich wyborach. Oznacza to, że obserwujemy wyraźną stabilizację zachowań wyborczych i to w warunkach pełnej kadencji.

To właśnie ten czynnik wydaje się być poważniejszym fundamentem stabilności niż strategie rządzących. Jeżeli indeks chwiejności pokazuje – przynajmniej w założeniu – grupę wyborców, którzy zmienili zdanie w ciągu ostatnich czterech lat, to w zasadzie pokazuje on jedynie efekt wejścia do gry Ruchu Palikota. Oczywiście – rzecz jest bardziej skomplikowana: bardzo istotnym elementem, który wymaga szczegółowych badań, jest kwestia mobilizacji wyborczej. Gołym okiem widać, że obu wielkim partiom przedsięwzięcie to się nie powiodło. Obie straciły – PO ponad milion wyborców, PiS prawie 900 tys. Wartość indeksu chwiejności pomija zatem kwestię frekwencji, ale dla analizy społecznych podstaw polityki jest ona bardzo istotna.

³ Por. R. Markowski, M. Cześnik, *Polski system partyjny: dekada zmian instytucjonalnych i ich konsekwencje*, [w:] *System partyjny i zachowania wyborcze. Dekada polskich zmian*, red. R. Markowski, ISP PAN – Fundacja Eberta, Warszawa 2002, s. 26.

Komitet Wyborczy	Wynik wyborów 2011		Wynik wyborów 2007		Różnica poparcia	
	w tys.	w %.	w tys.	w %.	w tys.	w %.
Platforma Obywatelska	5 630	39,2	6 701	41,5	- 1071	-2,3
Prawo i Sprawiedliwość	4 295	29,9	5 183	32,1	- 888	-2,2
Ruch Palikota	1 439	10,0	0	0	+ 1439	+10,0
Polskie Stronnictwo Ludowe	1 202	8,4	1 438	8,9	- 236	-0,5
Sojusz Lewicy Demokratycznej	1 184	8,2	2 123	13,2	- 939	-5,0
Mniejszość Niemiecka	28	0,2	32	0,2	-4	0
Pozostałe ugrupowania	591	4,1	664	4,1	-73	0
RAZEM	14 370	100,0	16 142	100,0	- 1 772	0

Widzimy zatem, że w tych wyborach nie można ograniczyć się do powierzchownej analizy „wyborczych procentów”, a rozwiązanie wielu zagadek może przynieść dokładna analiza wyników głosowania w poszczególnych powiatach i gminach. Na podstawie wrywkowej analizy gmin widać wyraźnie, że teza o przejęciu przez Palikota przede wszystkim elektoratu SLD nie jest tak oczywista. Co więcej – zaskakuje względnie równomierne rozłożenie wyborców nie tylko w okręgach, ale także w powiatach. Istotne odstępstwo od średniego poparcia wykazują jedynie powiaty, takie jak biłgorajski (17%) oraz powiaty tradycyjnego bastionu SLD – myszkowski, będziński oraz miasta Sosnowiec i Dąbrowa Górnicza (15-16%). Z drugiej strony znajdziemy okręg nowosądecki z poparciem na poziomie 4,7%. Oznacza to, iż – co skądinąd naturalne – Ruch Palikota ma większe poparcie tam, gdzie tradycyjnie silne było SLD, ale bez wątplenia w jego szeregach musieli znaleźć się albo całkiem nowi wyborcy (przynajmniej niegłosujący w 2007 roku), albo pozyskani także z innych partii.

O ile jednak w przypadku sukcesu Ruchu Palikota i porażki SLD przyznamy dużą rolę kampanii wyborczej – zwłaszcza tej telewizyjnej, to już analiza zmian poparcia pozostałych partii jest zastanawiająca. Po pierwsze – zmiany poparcia dla partii na poziomie okręgów nie wykazują żadnych prawidłowości, które pozwalałyby się interpretować jako skutki kampanii ogólnopolskiej. Jak bowiem wyjaśnić,

że największe straty ponosi PO w województwie lubelskim i w okręgach jeleniogórskim, częstochowskim, konińskim i przemyskim? Zwłaszcza że straty najmniejsze odnotowuje w nowosądeckim, pilskim, bielskim, sieradzkim i toruńskim. Nie ma tu ani specjalnej roli elektoratu wielkomejskiego, ani podziałów zaborowych, ani typu rolnictwa, ani wielkości miast w danym okręgu.

Nieco więcej widać w przypadku Prawa i Sprawiedliwości. Największe straty PiS miały miejsce w województwie śląskim. W dwóch okręgach – katowickim i gliwickim – na partię tę padło niewiele ponad 67% głosów, które zdobyła przed czterema laty. To efekt dyskusji na temat stosunku Jarosława Kaczyńskiego do „mniejszości śląskiej”, ale także przedziwnej i niespotykanej wcześniej roszady, w ramach której lider listy gliwickiej – Wojciech Szarama – został postawiony na czele listy katowickiej. Z kolei lider listy katowickiej – Jerzy Polaczek – został umieszczony na liście gliwickiej z numerem drugim.

Największe straty SLD widzimy w województwie elbląskim (strata 57,5% wyborców) i możemy je jeszcze – od biedy – tłumaczyć odejściem wieloletniego lidera listy, wspomnianego już Witolda Gintowt-Dziewałtowskiego. Ale jak wytłumaczymy podobne, także sięgające powyżej 50% straty w okręgu katowickim (odejściem lidera listy sprzed czterech lat Andrzeja Celińskiego?), bielskim, wrocławskim, łódzkim i wałbrzyskim?

Stereotypowe objaśnienia na temat zachowań wyborczych budujemy zwykle na obserwacjach makro – w skali całego kraju. Czasami jeszcze pod wpływem jednoznacznej wymowy map pokazujących poparcie dla partii wskazujemy na trwałość granic rozbiorowych. Jednak tezy obserwowane na poziomie mikro wydają się co najmniej dyskusyjne. Podobnie jak przekonanie o decydującym wpływie kampanijnych tricków. Jeżeli już jesteśmy przy analizie zachowań wyborczych, warto zwrócić uwagę na bardzo interesujące tym razem wyniki głosowania w wyborach do Senatu.

„JEDNOMANDATOWY” SENAT

Wprowadzenie jednomandatowych okręgów w wyborach do Senatu było nie tyle spełnieniem oczekiwań ideowych zwolenników Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, ile testem rozwiązania,

które może w przyszłości stać się narzędziem wyborczej, a nawet politycznej inżynierii w rękach rządzących. Dlaczego nie możemy traktować wyników senackich jako testu dla koncepcji JOW? Dlatego, że zdroworozsądkowo rzecz biorąc, są one drugorzędnym wątkiem wyborczego spektaklu. A zatem głosowanie senackie było pochodną głosowania sejmowego, a nie „główną grą w mieście”.

Jestem skłonny przypuszczać, że gdyby termin połączyć z wyborami samorządowymi, to zwycięzcami byłaby koalicja prezydentów miast, która w tych warunkach poniosła dotkliwą porażkę. Przegrała nie z Platformą, nie z PiS. Przegrała z formułą wyborów, która narzucała pewien scenariusz rywalizacji. Mechanizm mobilizacji wyborczej ze strony PO i PiS był tak silny, że wyniki senackich zmagania można było przewidzieć jedynie na podstawie przewagi partyjnej w wyborach sejmowych 2007 roku.

Tak proste narzędzie sprawdziło się w dziewięćdziesięciu dwóch ze stu przypadków. Dwa kolejne były do przewidzenia ze względu na konfigurację kandydatów: Włodzimierz Cimoszewicz nie miał rywala z Platformy, a w okręgu nowotarskim wystartowało dwóch kandydatów bliskich PiS (żaden z nich nie był formalnym kandydatem tej partii). Nic dziwnego, że zwycięzcą okazał się kandydat PO – Stanisław Hodorowicz.

Sprawa okazuje się jednak bardziej skomplikowana, gdy weźmiemy pod uwagę inne dane. Przyjrzyjmy się zwycięzcom i tym kandydatom, którzy w poszczególnych okręgach zdobyli drugie miejsce. Widzimy wyraźnie, że tylko w sześćdziesięciu ośmiu na sto przypadków wyborcy dali drugie miejsce którejs z dwóch wielkich partii. A zatem z pewnością odsetek głosujących inaczej niż w wyborach sejmowych musiał być dość istotny.

	Zwycięzcy	Drudzy
Platforma Obywatelska	66 ⁴	24
Prawo i Sprawiedliwość	31	44
Polskie Stronnictwo Ludowe	2	12
Sojusz Lewicy Demokratycznej	0	6
Obywatele do Senatu	1	7
Mniejszość Niemiecka	–	1
Alternatywa dla Ziemi Śląskiej	–	2
Pozostali kandydaci	–	–

Policzenie ogólnopolskiej korelacji między głosami oddanymi na partie parlamentarne i ich senackich kandydatów nie jest proste, jako że tym razem formacje te zrezygnowały z wystawiania ich we wszystkich okręgach. Nawet Platforma Obywatelska nie wystawiła pełnej ich listy, podobnie jak PiS zgłaszając własne kandydatury tylko w dziewięćdziesięciu trzech okręgach. PSL i SLD wystawiły kandydatów w sześćdziesięciu ośmiu okręgach. Dlatego też by zobaczyć coś istotnego, musimy wyjść poza obliczenia na poziomie ogólnopolskim.

Ciekawym skutkiem ubocznym tych wyborów – jeżeli potraktujemy je jako test ze strony PO – jest uspokajający komunikat, że wyborcy głosują na swoich partyjnych faworytów bez względu na system wyborczy. Możliwy jest zatem scenariusz, w którym na wypadek kłopotów z utrzymaniem lub sprawowaniem władzy Platforma zdecyduje się na ryzyko wprowadzenia Jednomandatowych Okręgów Wyborczych także na poziomie sejmowym – ufna, że da to jej „władzę na własność” bez konieczności użerania się z koalicjantami i parlamentarnym „planktonem”.

STABILIZACJA I MECHANIZMY ZMIANY

Skoro wybory parlamentarne ugruntowały władzę Donalda Tuska, co więcej ustabilizowały do pewnego stopnia scenę polityczną, dając szanse na przeniesienie konfliktu w sferę wojny między antyklerykalnym Ruchem Palikota a tradycyjnie nastawionym PiS, to powstaje pytanie, jakie są podstawy tej stabilizacji.

Wydaje się, że społecznymi podstawami tego zjawiska są mimo wszystko obawy Polaków. Obawy przed kryzysem, którego perspektywa zniechęca do opowiadania się za zmianą, studzi nadzieje na możliwość poprawy własnej sytuacji. Czynnikiem stabilizującym są także interesy liczących się grup nacisku, które z pewnością nie życzą sobie powrotu PiS do władzy, a w Platformie widzą względnie skuteczną gwarancję własnych interesów. Na wszelki

4 Do grona kandydatów PO wliczyłem także tych, przeciwko którym PO nie wystawiła własnych kandydatów (w przypadku senatorów – Borowskiego, Cimoszewicza i Kutza).

wypadek będą próbowały wzmocnić pozycję prezydenta Komorowskiego i będą korzystać z jego protekcji w sytuacji sprzeczności interesów z rządem.

Trzeci element – to postawa mediów i charakter „debaty”, jaka toczy się w Polsce od co najmniej czterech lat. W debacie tej, niemal jak w westernie, od pierwszej do ostatniej minuty nie ulega wątpliwości, kto jest „tym złym”. Czasami ktoś przyzna mu rację, pochwali jakieś wystąpienie, ale generalnie widzom nie pozostawia się złudzeń: Jarosław Kaczyński stanowi niesłabnące zagrożenie dla spokoju i normalności. Gra nie jest jednak tak prosta, jak się wydaje. Tu nie chodzi tylko o osłabianie Kaczyńskiego czy – na nieco wyższym poziomie – wzmacnianie negatywnych przesłanek poparcia PO.

Kaczyński do pewnego stopnia włącza się w tę grę z mediami. Utrzymuje ona bowiem PiS w roli jedynej istotnej alternatywy. Nawet wtedy, kiedy nie ma on siły i pomysłów na bycie skuteczną opozycją, nawet wtedy, gdy popełnia rażące błędy. W interesie Kaczyńskiego jest utrzymywanie się tego czarno-białego podziału aż do momentu jakiegoś kolejnego kryzysu, na miarę co najmniej afery Rywina. Do chwili, gdy skala przewartościowań będzie na tyle duża, że pozwoli na odwrócenie ról.

Mówienie źle o Kaczyńskim spełnia jeszcze kilka istotnych ról: konsoliduje elity intelektualne bez konieczności dokonywania rachunków dotyczących jej słabnącej roli w życiu publicznym. Daje im poczucie ważności, choć skuteczność sprzeciwu można było zobaczyć w chwili, gdy próbowano stworzyć jakiś szerszy ruch obrony demokracji w czasie rządów koalicji PiS – LPR – Samoobrona.

Najpoważniejszą stratą, jaką może przynieść niepokojąca już – gdy chodzi o skalę i trwałość zjawiska – fascynacja mediów i elit Jarosławem Kaczyńskim, jest wyłączenie poza poważną dyskusję kwestii, których podjęcie mogłoby być na rękę liderowi PiS. Na drugi plan schodzi zagrożenie pogłębianiem się polskiej peryferyjności – bo jest traktowane wyłącznie jako krytyka rządu. Słumiono w zarodku dyskusję na temat zaproponowanego przez Michała Boniego koncentracyjno-dyfuzyjnego modelu rozwoju, bo groził załamaniem się wpływów PO w znaczącej części kraju i przegraną w wyborach prezydenckich i samorządowych.

Zamknięty został istotny wątek porywinowskiej „odnowy”, jakim było zwrócenie uwagi na antyrozwojowe interesy korporacji

zawodowych i grup interesu, które w okresie transformacji zbudowały swoje pozycje na wykorzystywaniu uprzywilejowanego dostępu do środków publicznych i blokują dalsze zmiany sektora publicznego – związane z usprawnieniem administracji czy budżetem zadaniowym.

* * *

Sejm, który wybraliśmy jesienią 2011 roku, może być Sejmem, który stanie wobec trudnych decyzji dotyczących „dystrybucji kłopotów”, jakie wiązać będą się z kryzysem ekonomicznym. Ta niewdzięczna rola sprawia, że szeregi opozycji wobec niepopularnych decyzji rządu szybko poszerzają się o posłów tego czy innego koalicjanta. Donald Tusk nie może liczyć na stabilizację w takim samym stylu, jak przez ostatnie cztery lata. I nie chodzi tu o reformowanie państwa podyktowane jego długofalowym interesem. Raczej o zdolność politycznej mobilizacji, wykraczającą poza „minimalnie zwycięską koalicję” z PSL. Co więcej – stawką w grze o racjonalne decyzje wobec kryzysu może się stać tym razem nie tylko reelekcja i trwałość rządów, ale samo przetrwanie Platformy Obywatelskiej jako dominującego podmiotu partyjnej sceny.

Kruchość rządów wobec prostych nawet wyzwania kryzysowych, jaka ujawniła się ostatnio na Słowacji, pokazuje, że strategie gry w polu zamkniętym partyjnymi szyldami są czymś zasadniczo innym niż radzenie sobie z naciskami partnerów zewnętrznych i konieczność uzasadnienia na scenie krajowej polityki „ratowania Grecji” czy solidarności z każdym innym, znajdującym się w tarapatkach państwem UE. A przecież jest to najłatwiejszy z możliwych testów.

Spośród wielu scenariuszy amortyzacyjnego zachowania się Sejmu w warunkach kryzysu ten najprostszy polega na zdolności zawierania szerszych niż to normalnie konieczne koalicji. Postawa premiera wobec prezydenta, partnera koalicyjnego, głównego polityka własnej partii, jaką przyjął w pierwszym powyborczym okresie, pokazuje, że w głowie ma raczej „zawężanie” sojuszy. Polityczną stawką takiej strategii jest to, że jedynym politycznym amortizatorem kryzysu staje się dymisja rządu i odejście jego szefa.